

1. „Urban”, Dorota Karaś, Marek Sterlingow

Agata Passent

Mam kilka uwag do tej czytającej się świetnie biografii napisanej na cztery ręce. Ta dziennikarska dwójka dała nam przed laty opowieść o Annie Walentynowicz, więc nie dziwi, że interesują ich postaci niejednoznaczne, z trudnymi do wyjaśnienia rysami charakteru i żyjące w czasach PRL. Zaletą ale zarazem i wadą książki jest jej ton — autorzy cały czas patrzą na Urbana z dystansu, nie oceniają, zostawiają czytelnikowi baaaaardzo dużo swobody. Czy nie za wiele? Mamy tu bowiem o wiele więcej wspomnień o Urbanie pochodzących od jego byłych przyjaciół i współpracowników a stosunkowo mało od jego ofiar. Bezdyskusyjnie to arcyciekawa i rzetelna historia polskiej prasy okresu PRL, a nawet i wcześniejszego, bo ojciec Jerzego Urbana też był niesłychanie obrotnym człowiekiem prasy. Jak tworzyły się, rozpadały bądź nie, redakcje takich pism jak „Kulisy” czy „Polityka”, jak kształtowały się poglądy polityczne środowiska Urbana, jak i czy zmieniały się wartości wyznawane przez redaktorów. Żyjemy w czasach fejkniusów, postprawdy i propagandy uprawianej na skalę globalną — książka analizuje aparat propagandy i metody wpływu, manipulacji, przemocy stosowane a nawet wręcz wymyślane, przez tego znakomitego felietonistę, błazna, biznesmena który zdecydował się przekroczyć linię niezależności i stać się rzecznikiem prasowym władzy.

Bernadetta Darska

Nie jest łatwo opowiadać o bohaterze negatywnym. Różne są wówczas oczekiwania społeczne. Czasami odbiorcy wyobrażają sobie, że w przedstawionej historii dojdzie do sądu nad człowiekiem, a ocena i wyrok będą zgodne z ich wyobrażeniami. Bywa też, że czytelnicy szukają w życiorysie takiej osoby głównie kontrowersji, licząc na skandal i element nie tyle zaskoczenia, co przede wszystkim szoku. Jerzy Urban w tego typu uwikłaniach i oczekiwaniach recepcyjnych na pewno funkcjonuje. Tymczasem autorzy jego biografii, Dorota Karaś i Marek Sterlingow, nie tylko unikają wszelkiego rodzaju mielizn wynikających z pisania o kimś, o kim każdy ma swoje, najczęściej negatywne, zdanie, ale i z wielką brawurą, znanstwem, umiejętnością zatrzymywania w kadrze skomplikowania i gotowością do mierzenia się z tym, co nieoczywiste, „chwytają” swojego bohatera i pokazują nam go w bardzo różnym świetle. Nie oceniają, nie stają po żadnej ze stron, nie oskarżają, nie próbują tłumaczyć. Pokazują nam — tak po prostu — człowieka niebanalnego. Oryginalność Urbana pozwala mu na wykorzystywanie własnego talentu dziennikarskiego i pisanie tekstów, które się pamięta i które wyróżniały się na tle innych. Oryginalność jest również podstawą podjęcia ryzykownej współpracy z rządem, czego efektem jest przejście do historii jako mroczna, bo tożsama ze słowami do wynajęcia, wersja narracji prezentowanej społeczeństwu. Ta sama oryginalność pozwala Urbanowi na zrealizowanie kontrowersyjnego projektu medialnego. Wydawanie tygodnika „Nie” to z jednej strony łamanie tabu, z drugiej próba krytyki, na którą przyjdzie czas dopiero wiele lat później. Karaś i Sterlingow przedstawiają czytelnikom różne twarze Jerzego Urbana. Chcą zrozumieć, nie usprawiedliwiać. Pragną pokazać specyfikę epoki, odzierając ją zarazem z łatwej, charakterystycznej dla tego, co dzisiaj, jednoznaczności ocen. Nie dają się rozegrać swojemu bohaterowi, ale też sami nie próbują go rozgrywać. Stawiają na fakty, wartką, potoczystą opowieść, dramaturgię znakomicie łączącą to, co prywatne, z tym, co publiczne. Wydają się być zwolennikami tezy, że najciekawsze jest życie,

którego nie trzeba poprawiać dla publiczności, które drażni i irytuje, które nie bywa z łatwością klasyfikowane. Co z takiego życia wynika? Ano przede wszystkim prawda jednostki, grupy i czasów. W biografii Urbana zależność między tymi trzema punktami odniesienia zostaje świetnie uchwycona i dobrze oddaje nie tylko uwikłanie jednostki w brudną politykę i w dobre dziennikarstwo, ale też nieuchronne działanie zapomnienia, które jedne fakty wydobywa na wierzch, a inne całkowicie wymazuje. Dorota Karaś i Marek Sterlingow towarzyszą Urbanowi jako rejestratorzy przeszłości i współczesności. Nie tracą z oczu tego, o czym dzisiaj się już nie pamięta, nie eksponują szczególnie tego, co jest dobrze zapamiętane. Rekonstruują życie Jerzego Urbana – z tym wszystkim, co nazwać możemy małością, i z tym, co czyni go postacią zdecydowanie nietuzinkową. Wielka to sztuka i wielka to rzadkość tak opowiadać.

Ewa Niewiadomska

Jerzy Urban był dla mnie postacią zamkniętą. Zamkniętą raz na zawsze w ramie telewizyjnego kadru z konferencji prasowych rządu w Polsce lat 80. Jego biografię przyjął z dystansem, który przeła-mywały jedynie nazwiska znanych mi wcześniej autorów. Płaski kadr z czasów państwowej propa-gandy zmienił się, dzięki ich pracy, w serię wielowymiarowych, historycznych obrazów. Jakby otwierali przed czytelnikiem kolejne strony książki z rozkładanymi miniaturami. Są to obrazy z woj-ny, epoki socjalizmu i nowej Polski. Najpierw poznajemy chłopca, który unikał lekcji francuskiego, gry na fortepianie i wakacyjnych obozów z rówieśnikami. Widzimy go w wojennej scenerii i w śmiertelnym zagrożeniu, któremu umyka w niepojęty sposób. W końcu dostajemy postać redaktora i propagandzisty komunistycznych władz. Próba przywołania za autorami tego, budzącego największe emocje, etapu życia Urbana wydaje się zamierzeniem zabawnym w swojej niemożliwości. Poślu-żę się więc parafrazą zdania profesor Jadwigi Staniszkis wypowiedzianego o kimś zupełnie innym jako o człowieku, który „piękną inteligencję łączy ze złą emocjonalnością”. O istnieniu obydwu tych cech autorzy mogli się przekonać poznając bohatera osobiście w jego domu, u kresu życia. Czy takie spotkanie to dobry pomysł? - pytają, jak zauważyłam, uczestnicy wieczorów autorskich. Widzę tu analogię ze zdjęciem reporterskim - jeśli nie jest dobre to znaczy, że fotograf nie podszedł wystar-czająco blisko. Zbliżenie proponowane przez Dorotę Karaś i Marka Sterlingowa daje poczucie wykorzystania w pełni potencjału sytuacji. Każdy zanotowany (bez znieczulenia) szczegół gra tu na korzyść książki.

Wysoką „premię” chcę też przyznać autorom, za otwarcie. To sześć porywających stron, które chce się czytać na głos, aby poczuć rytm, dynamikę, układ słów – celnych, dosadnych i zabawnych. Opisany tu pogrzeb Jerzego Urbana to wydarzenie. Co w sobie mieści? Wrogość i przyjaźń, drama-tyzm i komizm, wielce skomplikowany obraz świata i jego powierzchowny odbiór. To najlepszy z możliwych wstępów do tej historii.

Zbigniew Kadłubek

Postać Jerzego Urbana budziła i nadal będzie budzić emocje skrajne, nie mam wątpliwości w tej materii. Podziw dla jego inteligencji, pracowitości, poczucia humoru, telnetu retorycznego – z jednej strony. Ale także z drugiej stronu pogardę do jego zaangażowania się w system,

który niewątpliwie miał zbrodniczy charakter. Ocena człowieka tylko częściowo może polegać ocenie drugiego człowieka. Biografistka i biografista o tym wie prawie zawsze. Czytelnik i czytelniczka – rzadko lub nigdy. Z tego powodu wszystkie etyczne kwestie w tych uwagach pomijam. Utwór biograficzny Doroty Karaś oraz Marka Sterlingowa został skomponowany koncertowo. Mnie szczególnie zachwycają te przeróżne i opalizujące formy dystansu i sympatii. Równoważące się nieustannie. W przepiękny sposób ustawicznie na tych 604 stronnicach grające ze sobą w jakąś przedziwną grę o niejednoznaczności ludzkiego życia. O nieodgadnioności motywów działania i poruszeń ludzkiego serca – nawet wtedy, że wydaje się, że powinniśmy wyrokować – albo wtedy, gdy jakiś proces lub system poczynił nazwiemy prosto cynizmem, wyrachowaniem, kalkulacją. Opowiadając o scenie intelektualno-politycznej Polski, nie da się pominąć ani Jerzego Urbana, ani całej sieci uwikłań (również pisarstwa) tego człowieka.

Aleksandra Klich-Siewiorek

Biografia jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci historii Polski imponuje wielowymiarowością. To nie tylko opowieść o tej mrocznej postaci, ale też kawał historii Polski, polityki i polskiego dziennikarstwa. Książka ogromna, ba, monumentalna, a jednocześnie daleka od przytłaczających wielkich monografii. Narracja wciąga, kompozycja jest jasna, autorzy piszą klarownie, świetnie budują sytuacje, zestawiają fakty, operują napięciem.

Książka nie jest żadnym pomnikiem Urbana, przeciwnie – to rzetelna i wieloaspektowa opowieść o życiu człowieka ocalonego z piekła, który dokonywał wyborów, z którymi wielu z nas, czytelników, obywateli, Polaków absolutnie się nie zgadza i który jest dla nas odstręczający. Ta książka ma wielką zaletę: nie uwodzi bohaterem, ale pozwala ocenić go w zgodzie z własnym sumieniem. Albo nie oceniać w ogóle.

2. „Śnialnia”, Rafał Księżyk

Agata Passent

Mimo, że Rafał Księżyk od wielu lat rozpieszczał nas bardzo dobrymi biografiami ludzi kultury i sztuki, szczególnie muzyków, to uważam, że tak książka jest najlepsza z jego dorobku. To nie tylko biografia grupy artystycznej, grupy buntowników, ale też biografia tworzących się nowych mód i praktyk życiowych czy też strategii przetrwania. Dla wielu z nas, dorastających poza Śląskiem, to pierwsze spotkanie z dorobkiem artystycznym członkiń i członków Śnialni. Dla wytrawnych czy wręcz zmanierowanych historyków sztuki to świeże spojrzenie, dzięki licznym bardzo pogłębionym rozmowom, które autor przeprowadził, na działania, dorobek, archiwalia i założenia Śnialni. Dla mnie najbardziej poruszające jest wydobycie z cienia lub zapomnienia wielkiego talentu i “połamanej” osobowości Urszuli Broll. Świadectwo walki jaką musiały kobiety artystyki toczyć, by trzymać swoją “osobność”, zdrowie psychiczne, rodzinę jednocześnie nie tracąc pozycji w grupie w której działała osoba tak, eufemistycznie mówiąc, “dominująca” jak Henryk Urbanowicz. To kawał nie dość znanej historii tragicznych losów Ślązaków, przy czym Śląsk widzimy tu bardzo szeroko, nie tylko ten wokół Katowic. Opowieść o ludziach, którzy codziennie pokonywali bariery:

stalinowskiej cenzury, gierkowskiego konformizmu, dominacji kościoła katolickiego, budowali sztukę opartą na swoich korzeniach i buncie ponosząc za to często wysoką cenę. To też opowieść o dzieciach ojców niedojrzałych, o niewystarczająco dobrym ojcu i mężu, którego nic nie usprawiedliwia.

Bernadetta Darska

Rafałowi Księżykowi udało się opowiedzieć świat, którego już nie ma. Jednocześnie uchwycił rzeczywistość, która stała się fundamentem dla osób doświadczających pełni, intensywności, przemienienia, głębokiego poczucia sensu. Można by więc rzec, że „Śnialnia” to nie tylko historia pewnego miejsca i pewnej grupy ludzi, ale też świadectwo doświadczenia wychodzącego poza racjonalność i kontestującego reguły otaczającego świata. Warto zwrócić uwagę na autorską gotowość wysłuchania świadków i uczestników wydarzeń sprzed lat oraz na umiejętność rekonstrukcji tego wszystkiego, co w opowiadaniu mogło zabrzmieć miało i sentymalnie, a wybrzmiewa intrygująco i fascynująco. Publikacja Księżyka to biografia, którą można by określić mianem zwielokrotnionej. Mamy bowiem do czynienia z udaną próbą uchwycenia tego, co należy do przeszłości, mamy barwny i nieoczywisty portret miejsca i środowiska, mamy wreszcie opowieść o idei (lub raczej o ideach), a także – co chyba najistotniejsze – dostajemy obraz tego, jak pewne doświadczenia z „wczoraj” mogą potencjalnie mieć wpływ na to, co jest „dzisiaj”. „Śnialnia” to także udana opowieść o prowincji, która nie przejmie się centrum i jest gotowa do ustanawiania własnych punktów odniesień. W efekcie to, co alternatywne, staje się podstawowe, a reguły gry definiowane są zgodnie z własnymi oczekiwaniami. Perspektywa niezależności i zbędności odnoszenia się do tego, co współcześnie określilibyśmy mianem mainstreamu, wybrzmiewa w tej książce mocno i dosadnie. Jednocześnie interesujące okazuje się prześledzenie dalszych etapów życia głównych bohaterów relacjonowanego undergroundowego spektaklu i zadanie hipotetycznych niekiedy pytań o ciągłość wyznawanych idei i wierność samemu sobie. Na uwagę zasługuje również nazewnictwo oraz intelektualny wpływ na otoczenie. Konkretnie słowa używane do określenia grupy oraz konkretne idee kształtujące trzon prowadzonych wówczas dysput to znakomite uchwycenie klimatu panującego wśród poszukujących i zadających pytania o ten jeden sens i wiele sensów. To zarazem ciekawa odsłona jeszcze jednej biografii zawierającej się w publikacji Księżyka, a mianowicie biografii myśli i sporów. Podczas lektury można pokusić się nawet o stwierdzenie, że jest w tej historii coś paradoksalnie nostalgicznego, bo takich miejsc i środowisk dzisiaj już nie ma. W pewnym więc sensie otrzymujemy również modelową opowieść o społeczności ludzi nieobojętnych, gotowych zaryzykować, by móc mówić o świadomości, gotowych śnić, by zbliżyć się do tego, co duchowo inspiruje, wreszcie gotowych na to, by wolność utożsamić ze spełnieniem.

Ewa Niewiadomska

Czy zdarza się, że portret zbiorowy jest lepszy od serii pojedynczych?

Czy bywa tak, że grupa ludzi tworzy całość, której rozdzielenie może spowodować ubytek sensów, znaczeń, wartości? Znam taki przypadek. To „katowicki underground” – czyli grupa artystów, którzy spotykali się od lat 60. XX wieku w pracowni Andrzeja Urbanowicza, na poddaszu przy ul. Piastowskiej 1. „Ten adres symbolizował dla wielu ucieczkę z szarego i

niebezpiecznego chodnika borych Katowic w przestworza” – powiedział mi w jednym z radiowych wywiadów Jerzy Illg – uczestnik spotkań przy Piastowskiej. Obok niego bywali tam, opisywani przez Rafała Księżyka, Henryka Waniek, Tadeusz Sławek, Henryk Mikołaj Górecki, Zdzisław Beksiński i inni. Każdy z nich stworzył z czasem swoją własną znakomitą historię. Tam jednak, w gościnie u Andrzeja Urbanowicza i Urszuli Broll, byli elementem większej całości. Wspólnie czerpali z odurzającej mieszanki marstwa, muzyki, buddyzmu zen i psychodelii. Zawijywali przyjaźnie, których wspólnym mianow-nikiem była filozofia życia, pragnienie beztroski i ciekawość innych postaci z kręgu. W „Śnialni” Księżyka znakomicie brzmi głos Henryka Wańka, który z niespotykaną wnikliwością odtwarza scenki z poddasza i charakteryzuje przyjaciół. O Beksińskim mówi „Zdzisław był osobą bardzo szczelnie osłoniętą warstwą sztucznej persony”. O Urbanowiczu „Potrafiliśmy się nawzajem nakrę-cać na różne większe lub mniejsze prowokacje, skandale, czasem ocierające się o chamstwo... w au-rze przeświadczenia, że w sztuce wszystko wolno”. Wartością jest tu już sam zapis wspomnień Wańka, którego opowieści są obok obrazów i książek osobnymi „dziełami”.

Mam w sobie również rodzaj wdzięczności wobec autora, który spłacił poniekąd mój dług wo-bec Urszuli Broll - znakomitej artystki, żony Andrzeja Urbanowicza. W pisanym wraz z dla Gazety Wyborczej, reportażu „Podziemne Poddasze” poświęciłam jej zdecydowanie za mało miejsca, pisząc głównie o tym, że „wychodziła” w urzędach mieszkanie przy Piastowskiej. Kto przeczyta „Śnialnię” dowie się wiele o jej mozaikowej osobowości i pracach na papierze, które zasługują na szeroką pre-zentację.

Tadeusz Sławek

Ta książka to właściwie biografia zbiorowa: osnuta na losach Andrzeja i Urszuli Urbanowiczów, jest opowieścią nie tylko o tych, którzy znaleźli się w kręgu ich działalności, ale opowiada także o Miejscu i miejscach, które były czymś znacznie więcej niż wyłącznie scenerią, topograficzną lokalizacją. Miejsca (z małej litery) to nazwy miejscowości, ulic, numery domów: wszystkie do wytropienia dzisiaj, choć być może w zmienionej postaci. „Miejscem” pisanym z wielkiej litery był Śląsk, kraina o burzliwej i dramatycznej historii i granicach rozmytych politycznymi decyzjami, które nie brały pod uwagę ani przeszłości ani woli mieszkańców. W nasilającej się po II wojnie światowej tendencji do homogenicznej wizji „narodu” polskiego, władze musiała niepokoić śląska różnorodność. W rodzinie wybitnego artysty Zygmunta Stuchlika nawet mowa śląska nie była jednorodna: członków jego najbliższej rodziny „różnił język, którym się posługiwali, śląsko-morawski, śląsko-polski, czy śląsko-niemiecki” (s. 49).

Henryk Waniek, dociekający w swych książkach istoty doświadczenia, jakim jest „Śląsk”, akcentował szczególnie stan ducha wynikający z płynnej, rozwiewającej się w powietrzu niepewności wynikającej ze stale obecnej bliskości minionego czasu, w którym Śląsk był czymś zupełnie innym niż się wydawał obecnie: niemal za rogiem granice trzech imperiów, dzisiaj upamiętnione jako „trójkąt trzech cesarzy” (wystarczy wybrać się na obrzeża Mysłowic), a nawet najbardziej na zachód wysunięty kraniec krótkotrwałej Rzeczypospolitej Krakowskiej, przypominały o nieodległej przeszłości zanegowanej przez konsekwencje wydarzeń wojennych. „Trzeba żyć na tej powojennej ruinie”, konkluduje

Waniek, „ale w doświadczeniu jednostki to była deprywacja: pozbawienie prawa do miejsca i tożsamości” (s.56). Jeśli tak odbierali to mieszkańcy Śląska, decyzją administracyjną niejako „przeniesieni” do nowej rzeczywistości, która obdarowała ich nową tożsamością, tym bardziej dramatyczne musiało być przeżycie tych, którzy, jak rodzina Urbanowiczów przesiedlili się tu z Wileńszczyzny.

Małżeństwo Urszuli i Andrzeja, Ślązaczki, której rodzina przeszła przez trudne lata okupacji niemieckiej i równie niełatwe pierwsze lata powojnia, kiedy to na Ślązaków patrzono z chorobliwą podejrzliwością nie stroniąc od brutalności, i człowieka z Kresów – mogłoby służyć jako wzór alchemicznego małżeństwa przeciwieństw. Przejmujące jest wspomnienie Andrzeja Urbanowicza z czasów jeszcze z wileńskich wojennych, kiedy to jego – jak pisze – niemal idylliczne dzieciństwo zaburzał jeden powtarzający się fakt – „nocne wycie matki”: „Siedziała wtedy pod lampą, z głową ukryta w ramionach opartych o stół i płakała. A właściwie to wyła jak zraniona suka. Nie wiem, czemu tak rozpaczała. Dlaczego ta żałość i ból były tak mocne” (s.42). Kiedy po latach Urbanowicz proponuje założenie Kościoła Naturalnej Obecności uczyni to dlatego, by przerwać złe sny człowieka, przerwać samonapędzającą się złą świadomość owocującą nieszczęściem i żałością. Napisze: „Ludzie rodzą się, żyją i umierają pogrążeni jakby we śnie”, natomiast wytrącenie z tego snu pozwala doświadczyć, że człowiekiem włada „inna świadomość” (s.454).

O taką właśnie „inną świadomość” zabiegali Gospodarze Pracowni Piastowska 1 – Urszula Broll i Andrzej Urbanowicz, i książka Rafała Księżyka śledzi artystyczne dokumenty tej pracy, pisząc nie tylko obrazach, ale także performansach, akcjach wydawniczych, tłumaczeniach książek niedostępnych wówczas na rynku. Przypomina także innych artystów współtworzących to miejsce - Zygmunta Stuchlika, Henryka Wańka, Antoniego Halora, Klaudiusza Jędrusika, Mariusza Tchorka, Mieczysława Litwińskiego. Pracownia z pewnością generowała pewien zmieniający się przez lata rodzaj sztuki, ewoluowało malarstwo Gospodarzy, ale nade wszystko Piastowska pozwalała skupić na świecie inaczej niż za pośrednictwem uruchomienia mechanizmów przystosowawczych. Uczyła poszukiwania na własną rękę i to był w niej najlepszy; dlatego też jej rola osłabła, gdy – w późnych latach 70. - stała się głównie ośrodkiem praktyk zenistycznych.

Autor dołożył wszelkich starań, by powstała książka nie tylko bogato udokumentowana, ale także krytycznie „serdeczna”. To ważna dla Śląska i Katowic propozycja próbująca uchwycić i opisać mnogość i różnorodność dróg doświadczania świata za sprawą Pracowni, która odegrała wielką rolę w życiu wielu ludzi.

Zbigniew Kadłubek

Sprawa Oneironu jest moją sprawą osobistą. Nie chodzi o to, że czuję się w jakimś prawnuku tej Grupy (choć raczej mam takie skrywane i nie do końca uświadomione odczucie. W istocie tak jest, że Oneiron mnie otacza (jak dwa „O” w jego nazwie). I nie umiałbym się wyrzec tego powinowactwa, które nie było wcale ani tajemnicze, ani zmyślane z jakieś pyszałkowatości. Po prostu ludzie, z którymi najwięcej rozmawiałem, których teksty najczęściej czytałem, z którymi łączyły mnie mniej lub bardziej ciepłe przyjaźnie, wyrosli z Oneironu, przy Oneironie (realnym tudzież rozszepczanym po całym Śląsku). Sądzę, że

podczas lektury tej książki, która jest kolektywną biografią ludzi oraz idei wciąż natrętnie nieco wracała do mnie myśli Andrzeja Urbanowicza, że „coś przestaje być czymś, aby stać się czymś innym”. Potem tej myśli poszukiwałem – bądź jej potwierdzenia u setek autorów i autorek. Właściwie i teraz, w tej chwili tej jednej myśli jestem wierny. Myślę ją sobie w sobie i ja rozwijam przy każdej okazji. Obserwuję swój duchowy rozwój i upadek poprzez to zdanie Urbanowicza. Wpłynął na mnie Zygmunt Stuchlik, bo był moim sąsiadem w Orzeszu (przez lata całe nie rozumiałem, co d mnie mówił); wpłynął na mnie Tadeusz Sławek (bo uczyłem się od niego dosłownie wszystkiego, nieraz nawet małpując jego zachowania); wpłynął na mnie Jerzy Urbanowicz (bo wypaliłem z nim kilka paczek papierosów cały czas milcząc nad nieoczyszczaną i tylko bardzo głośno wydychając dym, co było słychać prawdopodobnie już na południu Katowic, a my paliliśmy blisko Teatru Śląskiego); wpłynął na mnie Henryk Wanie (bo dawał mi czeskie i niemieckie książki, przysyłał przedziwne kolaże, darzył mnie zaufaniem, gdy ufać mi nie należało i uznawał mnie za człowieka inteligentnego, gdy i to przecież okazało się ostatecznie nieprawdą); wpłynął na mnie Jerzy Illg (bo go z daleka podziwiałem, zazdroszcząc mu, chociaż on mną elegancko pogardzał, co uczyło mnie pokory); wpłynął na mnie Krzysztof Pawłowski (bo uczył mnie przez wiele lat sanskrytu, krzyczał na mnie, nawracał mnie, ale także szczerze mnie zawsze kochał, czego nie byłem godny); wpłynął na mnie Ingmar Villqist, czyli Jarosław Świerszcz (bo kłócił się ze mną o „Annę Kareninę”, sprawy erotyczne, a w końcu nauczył mnie, że Górny Śląsk można kochać jedynie wtedy, gdy się go znienawidzi). Biografia Oneironu to opowieść o porażce i zwycięstwie życia duchowego w Katowicach i na Śląsku. Śląsk w istocie jest miejscem pozbawionym najmniejszych szans. Jestem najcieńszą i zerwaną nitką w tej biograficznej tkaninie Rafała Księżyka, który po mistrzowsku i wielogłosowo „biografizował” środowisko, sen i prawdziwych ludzi. Jestem przekonany, że „Śnialnia” przedstawia analitycznie i rzeczowo prześnienie tego, co byłoby w tej śląskiej krainie najistotniejsze: nieuchwytność, miraż. Ten szkic biograficzny tak starannie przygotowany był bardzo potrzebny, aby zrozumieć „okoliczności” Śląska w Polsce – a także „okoliczności” Polski na Śląsku. Uważam ten przewodnik za jedną najważniejszych książek, które przeczytałem jako podręczniki samopoznania siebie. Piszę wyżej sporo o sobie. Lecz nie dlatego, że jestem dumny lub zarozumiały. Raczej dlatego, że stanowiłbym dowód istnienia Oneironu jako tryumfu i nicości. Biografia przecież jest po to, żeby ukazać, że nasze życie jako rodzinę rodzenia.

Aleksandra Klich-Siewiorek

Opowieść o legendarnej Pracowni na Piastowskiej w Katowicach to historia ludzi, którzy próbują stworzyć w opresyjnej PRL-owskiej rzeczywistości własny świat. To też opowieść o inteligencji, która broni prawa do wolności życia i twórczości oraz do własnych wyborów – pod prąd obowiązującego kanonu. Dzięki uporowi, odwadze i marzeniu stworzyli w PRL-u alternatywną rzeczywistość dla takich jak oni: artystów, muzyków, filozofów, wolnomyslicieli. Książek rekonstruuje historię polskiego buddyzmu, kontrkultury i najważniejsze – losy ludzi, którzy tworzyli Pracownię. Wrażenie robi skala rekonstrukcji losów Urszuli Broll, dotychczas nieco zapomnianej – autor przywraca jej właściwe miejsce w opowieści o Śnialni, której była współtwórczynią. Jestem mu wdzięczna za tę historię.

To też książka, która przypomina, że na Górnym Śląsku, który w powszechnym, niesprawiedliwym osądzie uchodzi ciągle za miejsce życia prostych „hobbitów”, w obszarze sztuki działy się i dzieją niezwykle rzeczy.

3. „Babel. Człowiek bez losu”, Aleksander Kaczorowski

Anna Arno

Nie najlepsza pora by pochylać się nad życiem i dziełem Izaaka Babla. Pisał po rosyjsku, choć był przecież Żydem z Odessy. Niezręcznie mówić o Bablu, ponieważ w 1920 roku walczył przeciwko Polakom. –Był pisarzem sowieckim, zaangażowanym w śmiertelnie niebezpieczny, karkołomny taniec z władzami. Nie wiadomo, czy naprawdę pracował jako tłumacz w Czecha, czy tylko to sobie wymyślił dla zabezpieczenia pozycji. Jedną z jego kochanek, zmysłową redaktorka, została potem żoną „krwawego karła”, Nikołaja Jeżowa – i zapewne za ten pechowy romans Babel zapłacił najwyższą cenę. To ważne, że biografia Aleksandra Kaczorowskiego Babel. Człowiek bez losu pojawia się teraz, kiedy los Babla wydaje się szczególnie dotkliwy. Kiedy „okopy, rozbebeszone fabryki”, mordy i gwałty w Ukrainie to nie jest tylko opis wydarzeń sprzed stulecia. Czerwień w opowiadaniach Babla to kolor rewolucji i Armii Czerwonej, ale też czerkieskiej czapeczki i purpurowych bryczesów, aksamitnych obić, malinowej dłoni, wreszcie szkarłatnego słońca i krwawej mgły, jego „skąpanej w krwi Rosji”. Pisał tylko prawdę. Jak powiedział Konstantemu Paustowskiemu: „w moim herbie będzie zapisana dewiza «autentyczność»”.

Agata Passent

W biografii nie chodzi tylko o pomysł na bohatera czy sposób na opowiedzenie jego życia. Czasem uda się jeszcze osiągnąć ten trzeci element – arcydzielny styl pisania samego biografisty. To właśnie ten przypadek książki – wszystkie trzy elementy uzupełniają się tak ściśle i idealnie, że czyta się tę biografię z zachwytem. O życiu pisarza Izaaka Babla wiemy już w Polsce sporo – jego prozy są często wznawiane, Jerzy Pomianowski zrobił przecież ogrom pracy swoimi przekładami i esejami, a sam Babel napisał „Dziennik 1920”. Jednak jeśli chcemy, a dzięki Kaczorowskiemu chcemy wiedzieć i rozumieć więcej z Babla, to koniecznie czytamy tę książkę. Skupia się ona na rozsupływaniu motywów twórczości pisarza za pomocą skrupulatnego badania historii jego pochodzenia, miejsc w których rzucał do los lub do których sam się pchał, ludzi których podglądał i słuchał (np. armia), języków, którymi władał. Cieszymy się, że Kaczorowskiemu udało się przeprowadzić badania terenowe i archiwalne zanim Rosja napadła na Ukrainę!

Zbigniew Kadłubek

Zdając sobie sprawę, że autor tej przeświecanej biografii był już nagradzany w podczas konkursu Górnośląskiej Nagrody Literackiej Juliusz, powinienem się powstrzymać od nominowania tej książki w tegorocznej edycji. Nie mogłem tego jednak zrobić z dwóch powodów: po pierwsze biografistyczny talent Aleksandra Kaczorowskiego cenię od dawna; uważam, że jest mistrzem tego gatunku, że potrafi jak nikt dawać ramę literacką temu czemuś trudnemu do zdefiniowania, co określamy życiem człowieka, pisarza, artysty etc. Istnieje jednak jeszcze powód drugi: Pod urokiem stylu Babla jestem od lat. Uczyłem się od

Babla. Czytałem Babla jako stylistę. Wertowałem Babla w poszukiwaniu patetycznych szalonych obrazów lub tak elegancko i buńczucznie zapisanych zdań, że dech zapierało mi w piersiach (już jako licealiście mikołowskiemu). Dlaczegoż miałbym się zatem wyrzec nominowania tej sprawnie skreślonej biografii? – Po pewnej psychomachii, której muszę przemilczeć szczegóły, zdecydowałem się nominować książkę o radzieckim pisarzu. Należę do ludzi, którzy opętańczo, obsesyjnie nienawidzą Związku Radzieckiego – ale jednocześnie jestem prawdopodobnie najzagorzalszym zwolennikiem prozy radzieckiej w dzisiejszej Europie. Nie będę się z tego tłumaczył... Ale muszę wyznać, że obydwaj: i Kaczorowski, i Babel mnie zachwycili, obdarowali. Dali mi dużo radości w tych ostatnich ponurych miesiącach roku 2024. Lubię wirtuozerstwo słowne – nawet nic za tymi słowami nie musi być wielkiego etycznie, patriotycznie, pejzażowo. Kocham literacką wirtuozę jak kocha się jakiś kunszt czy rzemiosło ręczne. Lubuję się w słownych popisach Babla – jak meloman kochający fugi Bacha: biegnące co w połączeniach nerwowych, co przypomina harmonię galaktyki i rozpad gwiazd. Wystarcza mi to w literaturze. Kaczorowski dodatkowo dał mi sporo wiedzy o tym moim ulubionym pisarzu czy też o samej Odessie, gdzie moim przodkowie krótko żyli. O której myślę jako o molekule istnienia mego własnego, nolens volens. I za to jestem mu wdzięczny temu Kaczorowskiemu, który życie ujmuję w jakimś żywiole a nie akademickim obiektywnym „zarchiwizowaniu”. Przecież ja jestem z tych, którzy „Armię Konną” czytali na głos! Jako członek zacnej Kapituły też mam swoją biografię, oj, powiązaną silnie między innymi z Izaakiem Bablem!

Aleksandra Klich-Siewiorek

Kompaktowe arcydzieło napisane wspaniałym językiem. Kaczorowski znakomicie rekonstruuje los tak złożonej i fascynującej postaci jak Babel w kontekście historycznym i wobec zła, w którym przyszło mu żyć. Pogłębiona, uciekająca od łatwych osądów dobrze skomponowana opowieść mistrza, którym niewątpliwie jest Kaczorowski – już klasyk polskiej biografistyki. Tu nie ma niczego za dużo, ani za mało.

4. „Ptaki krzyczą nieustannie”, Beata Dżon-Ozimek, Michał Olszewski

Anna Arno

W głośnym filmie Strefa interesów znalazł się epizod ornitologicznej wycieczki esesmanów: w szuwarach nad Wisłą, w okolicach Oświęcimia. Książka Beaty Dżon-Ozimek i Michała Olszewskiego, podobnie jak film, podejmuje pytanie o banalność zła, o granice ludzkiej obojętności. Ze wstrząsających wspomnień więźniów wiemy, że egzekucjom często towarzyszyła muzyka wykonywana przez wycieńczonych więźniów. Niełatwo jednak sobie uświadomić, że nad obozem wybuchała zielen, ptaki znosiły jaja i karmiły pisklęta. Günther Niethammer każdą chwilę wolną od obozowych zadań wykorzystywał na obserwacje ptaków. Podglądał je i łowił. Jak piszą autorzy, „Günther okazuje się nienasyconym myśliwym i nie zmarnuje żadnej szansy na oddanie strzału”. Życie Niethammera odsłania się przed nami w serii obrazów, niczym ornitologiczny atlas. Powściągliwa narracja jest skrupulatna, zdystansowana i porażająca. Historia Niethammera – wywodzącego się z rodziny zamożnych przemysłowców o „czysto niemieckich” tradycjach jest istotna nie tylko ze względu na jego osobiste perypetie: pochodzenie, małżeństwo czy szczyble naukowej

kariery. Los naukowca-esesmana odsłania nieznane obszary ludzkiej obojętności: mur otaczający „strefę interesów” wznosi się również w głowie uczonego. Jak zresztą pokazują autorzy, podczas wojny nawet zachwyt ćwierkaniem ptaków nie był niewinny. „Wszystko jest istotne i wszystko może się przydać maszynie wojennej”.

Agata Passent

Tak, wiemy, że biografisci zasypują nas od lat literaturą na temat zbrodniarzy wojennych, a w szczególności oprawców z niemieckich obozów koncentracyjnych. Jednak archiwa wciąż zawierają wiele nieopisanych przypadków, a nurtowi literatury tzw. „pop-obozowej” należy stawiać opór publikacjami merytorycznymi i doskonale poukładanymi. „Ptaki krzyczą nieustannie” nie jest co prawda biografią stricte naukową, ale to starannie udokumentowany i podzielony jakby na kilka głosów i faz, niczym śpiew niektórych ptaków, reportaż historyczny. Antybohaterem jest tu Guenther Niethammer, syn bogatego przemysłowca i lokalnego polityka z Saksonii. To konserwatywna, patriarchalna rodzina pełna kultu mundurów i służby ojczyźnie. Synowie sami zgłaszają się do wojska z tym, że Niethammer jest młodym naukowcem, przyrodnikiem zafascynowanym ptakami. Książka to fascynujące studium jakby dwóch zagład stojących się równocześnie! Poukładany niemiecki naukowiec „pracuje” w Auschwitz jednocześnie prowadząc i pedantycznie dokumentując, swoje badania nad ptakami. Za drutami trwa mordowanie niewinnych ludzi, a świat myśliwych, handlarzy, ptasimi piórami i naukowców prowadzi w celach badawczych swoją zagładę ptaków. Losy ofiar esesmana i ornitologa opisane nie są tu pomijane chociaż oczywiście pytanie jak skończył sam Niethammer każą kolejny raz wrócić do debaty o „banalności zła” i dehumanizacji ofiar oraz niemieckim poczuciu winy.

Ewa Niewiadomska

Wybór tej reporterskiej książki jest dla mnie oczywisty. Chciałabym jednak odstąpić od próby jej opisanie. Sam proces „czytania” świata rozpiętego między pasjonującą ornitologią, a potwornością Auschwitz jest wyczerpujący. Musi być taki nawet jeśli wcześniej spotkaliśmy się z innymi książkami i filmami zgłębiającymi fenomen obojętności niemieckich żołnierzy na potworności tego, co działo się w obozie. Obok książki „Farby wodne” Lidii Ostałowskiej i filmu Johnathana Glazera „Strefa Interesów” otrzymujemy w książce Beaty Dżon-Ozimek i Michała Olszewskiego kolejny wstrząsający obraz, który musi przetrwać jako próba ocalenia świata przez pamięć o przeszłości.

Tadeusz Sławek

W tej książce topografia jest czymś więcej niż zwykłym opisem lokalizacyjnym: ustanawia głęboki kontrast między tym, co nie-ludzkie, a działaniem człowieka. Z jednej strony świat natury, piękny i obojętny, z drugiej – straszliwa historia okrucieństwa ludzkiego. W naturalnej scenerii przedgórskich widoków, rzek i stawów, nad którymi uwijają się ptaki, czasem pospolite (jak sierpówka), czasem rzadkie (jak czapla) pracuje fabryka śmierci opracowana z inżynierską precyzją, zapewniającą wysoką skuteczność.

„Koryto rzeki Soły, około pięciu kilometrów powyżej Auschwitz. Widok w górę rzeki, w tle widać Beskidy. Ptakiem charakterystycznym dla zarośli przy brzegu jest przede wszystkim

łozówka, na przeciwnym brzegu – słowiki. Na kamienistej plaży i żwirowych wyspach nierzadko gniazduje sieweczka rzeczna” (s.464) – to jeden z wielu opisów świata natury przywołujący na myśl sceny z filmu Strefa interesów, w których komendant Höss urządza dzieciom idylliczne wycieczki kajakiem po rzece. Nad koronami drzew można niekiedy zobaczyć czarny, ciężki dym powoli rozwiewany przez wiatr.

Pytanie o zło i jego przyczyny nie przestaje trapić. Nie zniknęło nigdy z kart rozpraw filozoficznych, z losów powieściowych bohaterów, a dzisiaj kryje się w każdym zdjęciu przedstawiającym zrujnowane miasto w Ukrainie, głodujących i ostrzeliwanych mieszkańców Gazy, którzy przestali już być „mieszkańcami”, stając się „wiecznymi uciekinierami”. Czy wobec zła natura człowieka jakoś specjalnie „uczłowiecza się”, to znaczy wyłącza z wielkiej wspólnoty tego-co-żyje, zamyka w osobnej przestrzeni, do której świat natury nie ma wstępu? A może przeciwnie – zwierzę, dostrzeżone w momencie największego poniżenia i braku nadziei, może nieść pocieszenie? A jeśli tak, to czy nie jest to pocieszenie zdradzieckie, bowiem odciąga uwagę od cierpień, jakie ludzie zadają sobie wzajemnie. Viktor Frankl w swej słynnej książce wspominał o nienazwanym ptaku towarzyszącym mu w katorżniczej pracy, ale Halina Birenbau, więźniarka Majdanka i Auschwitz uważa, że „trzeba skupić się wyłącznie na cierpieniu ofiar, a cała reszta jest nieważnym tłem” (s.270).

Książka, o której mówimy jest rodzajem śledztwa mającym na celu ujawnić przyczyny, dla których ceniony naukowiec, Günther Niethammer, dał się wciągnąć w tryby nieludzkiej maszynery, nierzadko uciekając się do argumentu, iż taka decyzja wynikała z pragnienia uprawiania nauki z możliwie najlepszymi wynikami. Trafił do służby wartowniczej w Auschwitz wbrew chęci, ale nigdy nie wyraził z tego powodu skruchy, nigdy też nie poddał ocenie historii nazistowskiej dyktatury. Odsiedziawszy trzy lata w krakowskim więzieniu, wyjechał do Niemiec kontynuując karierę uznanego w kręgach akademickich ornitologa. Autorzy nie podpowiadają odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”, ale - być może – warto wskazać na niebezpiecznie głęboko zakorzenione tradycje militarystyki obecne w wychowaniu i edukacji niemieckiej po I wojnie światowej, ale to słaba odpowiedź. Może mocniejszej dostarczy wiecznie obecna w człowieku pokusa konformizmu i dopasowywania się do będących aktualnie przy władzy. W znamienym fragmencie wystawionej Niethammerowi przez niemieckiego profesora i mentora jego kariery akademickiej pozytywnej opinii jako o uczonym i człowieku, czytamy: „Z innej zaś strony, nigdy nie słyszałem, by wstawił się z jakimś więźniem na tyle, żeby się narazić na nieprzyjemności albo nawet niebezpieczeństwo” (s.363). Może to jest trop dla pedagogiki na wszelkich poziomach edukacji: kształcić wrażliwość prowadzącą do gotowości do działania na rzecz słabszych? Może to znaczy więcej niż tomy publikacji naukowych i uzyskiwane akademickie tytuły?

Historia ludzka w tej książce jest jak gęste bagno otaczające i wciągające wszystko, co żyje. Wszystko, co piękne. Nad stawami opodal Auschwitz ornitolog Niethammer słucha słowików; chwilę potem Niethammer-strażnik obozowy wypatruje, czy któryś z więźniów nie zbiera się do ucieczki. Są tu ptaki – kaczki, na które poluje Günter Niethammer nie tylko dla celów naukowych i taksodermicznych, ale także by je dostarczać komendantowi obozu w Auschwitz Hössowi i innym esesmanom, co zresztą dokumentuje skrupulatnie w swym

dzienniku. Przypomnijmy, że regulamin służby obozowej obowiązujący Niethammera przewidywał dla strażnika dzień urlopu za „upolowanie” więźnia próbującego uciec.

Ptaki są w tej książce oplecione najmroczniejszymi nićmi ludzkiej historii. Jak trzysta gęsi, które hodowano specjalnie w obozie koncentracyjnym w Sobiborze, aby swymi gęganiem zagłuszały krzyki mordowanych więźniów (s.274), albo bogate łupy ornitologów-myśliwych wracających z polowań z torbami pełnymi ptaków poddawanych następnie procedurom taksodermicznym.

Przejmujące jest zestawienie dwóch faktów: „3 lipca na terenie przylegającego do obozu żwirowiska załoga SS rozstrzeliwuje osiemdziesięciu więźniów politycznych (...). Tego samego dnia Niethammer nie może zaliczyć do udanych. Ze stawów przywozi jedynie młodocianego świergotka drzewnego” (s.213).

Bo też i książka Ozimek i Olszewskiego przeraża i nie daje spokoju.

Zbigniew Kadłubek

Nie wypadłoby mi może nominować książki autorstwa Beaty Dżon-Ozimek i Michała Olszewskiego jako amatorowi ornitologii i potomkowi dwóch zbrodniarzy wojennych. Gdybym jednak pominął te sprawy i zakrył je przed światem, cóż byłby ze mnie za członek Kapituły nagrody biograficznej? Miałbym się wstydić ciągłości życia jako (literatury, sztuki, religii, biologii, polityki) w imię lęku, żem nie godzien żyć? Oczywiście, przytłaczająca jest lektura książki o Niethammerze. Tortury i torsje towarzyszą tej lekturze. Nie dlatego że ludzie są źli z natury. Lecz dlatego że nikt nie wie, kiedy jest naprawdę zły. Czy wtedy, gdy celuje do trznadla w celach badawczych na terenie „strefy interesów” KL Auschwitz, czy wtedy, gdy, w celach badawczych, i ze strachu, depcze czyjeś uczucia, przekonania, miłość? Autorka i autor biografii Niethammera napisali dzieło, tekst, które nie jest w zasadzie biografią: to najzwyczajniej „thanatografia” (niekoniecznie alternatywne życiopisanie żywobycia). Przy czym ten dziwny i wstrząsający utwór musi jednak stać się przyczyną do zadawania nowych pytań o zło. Zło nie jest banalne, gdy widzie się bakasa pełnego ołowiu. Autorom tej biografii coś się wymknęło i stworzyli nowe bestiariusz poświeceniowej przygody. A wszystko się nieoczekiwanie dzieje w tej sprawie ptasiej i zagładowej – zaraz za wypisanym dziwnie pochylonymi literami fragmentem z Hegla. Kursywa jest groźna w muzeach historii naturalnej.

Aleksandra Klich-Siewiorek

Biografia zwykłego, banalnego zła. Opowieść o człowieku, który nie zabijał, ale też nie pomagał, wybrał świadkowanie i towarzyszenie zbrodniom. Świetnie napisane, imponuje też ogrom zebranego materiału, również w Niemczech.

5. „Przybyszewska/Pająkówna. Głuchy Krzyk”, Anna Kaszuba-Dębska

Agata Passent

To oryginalny i udanie przeprowadzony eksperyment biograficzny. A mianowicie biografia podwójna—matki i córki. Dzięki pracy Anny Kaszuby Dębskiej odkryłam dla siebie zupełnie

nieznaną malarkę, Anielę Pająkową, która tworzyła znakomite portrety w stylu impresjonistycznym z dużą dawką psychologicznej wnikliwości. Książka wnikliwie ukazuje ogromnie ciężki los Anieli, która podejmuje cholernie trudną decyzję- postanawia urodzić dziecko wiedząc, że ojciec dziecka nie jest zainteresowany ani małżeństwem ani ojcostwem. Decyzja ta nieodwracalnie zaważy na losach jej kariery artystycznej i życiu codziennym. Mężczyzną tym był dramturg i pisarz Młodej Polski, Stanisław Przybyszewski- I tu kolejna zaleta tej książki. Otrzymujemy (nareszcie?) , że tak powiem, "trzeźwe" spojrzenie na zniszczenia psychiczne jakie zaserwował ten artysta Anieli a następnie córce- Stachnie. Córka zajmował się wyłącznie wtedy, gdy akurat był trzeźwy lub w pobliżu, instrumentalnie. Jego totalny narcyzm i skłonność do wybaczenia sobie samemu wszelkich grzechów oraz ciężkie uzależnienie stanowiły ciężar psychiczny, jaki przez całe życie musiały nieść obie uzdolnione, wrażliwe kobiety. Książka pełna jest fascynujących listów pisanych na początku 20. wieku- gratka dla historyków. Stanowi psychologiczne studium bliskiej relacji matki z córką; relacji, która na pewno ułożyłaby się inaczej, gdyby nie ostracyzm społeczny i rezygnacja matki z dalszej światowej edukacji artystycznej oraz niezaspokojony głód ojca.

Bernadetta Darska

Napisana stosunkowo tradycyjnie, ale ze strony na stronę z epickim rozmachem i świadomością opowiadanej historii coraz bardziej zaskakująca i coraz bardziej trzymająca w napięciu. Umocowana w faktach, zakorzeniona z dokumentach, epistolografii i innego rodzaju zapiskach, przenosząca czytelnika w czasie, a jednocześnie daleka od sentymentalizmu i egzaltacji, które mogłyby się pojawić tam, gdzie jest miłość, namiętność i zdrada. A te ostatnie znajdują miejsce w tej historii. Z rolami dość typowo rozpisany przez życie, ale i rozdany oryginalnie. Bo to właśnie dwie kobiece postaci oraz jeden, obecny wcale nie tylko w tle mężczyzna, tworzą trójkąt, za sprawą którego dzieje się tak wiele. Malarka Adela Pająkówna, salonowy lew i wielki artysta Stanisław Przybyszewski, oraz ich córka Stachna Przybyszewska. Mamy więc zakazany romans, mamy zakochaną kobietę, która nie jest jedyna, mamy dziecko, które ufnie reaguje na emocjonalną manipulację ze strony ojca. To jednak nie wszystko, bo ostatecznie nie chodzi przecież tylko o emocjonalne napięcie między wspomnianą trójką bohaterów. Na plan pierwszy wysuwa się bowiem mniej lub bardziej uświadomiona walka o własną wyjątkowość. Czytamy więc o determinacji w pracy artystycznej, o miejscach ważnych dla ówczesnego środowiska, o ludziach przyjaznych i wspierających artystki w potrzebie. Szczególnie interesujące wydają się fragmenty ciągle podejmowanych prób, prowadzących do unieważnienia dysonansu związanego z codziennością. Wielki talent i wielka bieda, życie sztuką i dosadność zimna lub głodu – to doświadczenia, które zostają pokazane z dużą wrażliwością, naturalizmem, ale bez emocjonalnego szantażu w stosunku do czytelnika. Anna Kaszuba-Dębska portretuje życie artystek jako proces. Nie stroni od zaakcentowania trudności wynikających z płci, ale i z funkcjonowania w takich a nie innych czasach. Kładzie nacisk na przetrwanie w kontrze do anonimowości i działań na rzecz wymazania z przeszłości. Dobrze oddaje brak czasu w kontekście wspomnianego dążenia do wyjątkowości. Tworzenie zamienia się więc w takiej sytuacji w przeżycie nie tylko formacyjne, gdy mowa o początkach świadomego funkcjonowania w przestrzeni publicznej, ale i fundamentalne, jeśli brać pod uwagę to, co jest dalej i to co prowadzi ostatecznie do nieuchronnego końca. Mamy do czynienia z

biografią świetnie napisaną, bardzo dobrze udokumentowaną, bazującą na celnie dobranych fragmentach istniejących zapisków, znakomicie oddającą epokę, tło historyczne, ciężar pasji i konsekwencje nie zawsze dobrych decyzji natury uczuciowej. Przetrawienie w znaczeniu artystycznym często towarzyszy tutaj przetrwaniu w wymiarze czysto fizycznym i materialnym. Annie Kaszubie-Dębskiej udaje się pokazać, że oba rodzaje przeżycia nie tyle wzajemnie się znoszą, co raczej uzupełniają, a ich ważnym punktem odniesienia jest obecność dobrych i wrażliwych ludzi, dzięki którym życie nie przerodzi się w wegetację.

Tadeusz Ślawek

„Wieczne czekanie, samotność, choroba i cierpienie” – tak można by opisać losy dwóch kobiet, matki-malarki – Anieli Pająkównej i Stanisławy Przybyszewskiej – pisarki (powie o sobie, że jest „matematycznym literatem”, s.443), czyli dzieje żony (Aniela) i córki (Stanisława) króla polskiej moderny Stanisława Przybyszewskiego. Obie zmarły młodo, po latach zmagania z przeciwnościami losu, przez jakiś czas oplatane fałszywymi obietnicami bliskiego partnera i ojca, człowieka, który wyrzekłszy się matki swej córki, ostatecznie odrzucił także i córkę. Co rusz odnajdziemy w książce uwagi na temat „bezdusznosci” (s.136) Przybyszewskiego. Nierzadko pisarz „użalając się nad samym sobą, mami wspomnieniami gorącej miłości i doskonale manipuluje” (s.111).

Samotność obydwóch kobiet była więc dogłębna: „Jestem sama. Naprawdę sama” (s.444), napisze w 1932 roku do Tomasza Manna. Samotności ta doświadczała poszukując nowego miejsca pobytu na obczyźnie: Pająkówna, zdolna malarka wystawiająca w Paryżu wraz z Olgą Boznańską i Eugeniuszem Żakiem wędrowała między Medyką, Lwowem, Monachium i Paryżem; Stanisława – erudytką o wielkich zdolnościach i talencie literackim nieustannie przenosi się z miejsca w miejsce, by ostatecznie osiąść w Gdańsku. Stąd dobrze usprawiedliwia się fakt, że biografia p. Dębskiej jest zorganizowana głównie topograficznie: poszczególne części sygnowane są toponimami.

To dzieje kobiet tyleż samotnych, co dzielnych, niezależnie myślących, nie szukających ucieczki w obowiązujących stereotypach społecznych. W księdze metrykalnej odnotowano, co wówczas zdarzało się „niezwykle rzadko”, „Illegitimi” „uznające ochrzczone za dziecko z nieprawego łoża. Nazwiska ojca nie podano, widnieją tylko dane matki” (s.93). Córka, po latach odważnie i bezwzględnie oceni swoją relację z ojcem: „moje uczucie do ojca nie jest dodatnie (...), przeceniłam ogromnie i artystę i umysł” (s.82). To, co powie o nieżyjącej już wówczas matce wygląda jak charakterystyka niezależnej i mądrej kobiety. Przytoczmy niezwykle słowa Stanisławy: „kobieta ma taką siłę charakteru i umysłu, że nie w uniesieniu, nie zbałamucona, lecz pełną, dorosłą świadomością godzi się ponieść ostracyzm całego świata w zamian za szczęście doszczętnego darowania się (dziś to łatwo, ale w latach dookoła 1900, w mieście prowincjonalnym...! Wtedy to było bohaterstwo), by potem (...) rozpocząć z radością nowe życie, oparte na macierzyństwie, wstrzymując z pogodną dumą wrogość powszechną (ale ta też postawa zyskała matce kilku przyjaciół prawdziwych (...) i przyjaciółek, które dla niej poświęcały korzyści towarzyskie – a to wiele znaczy!)” (s.82). Sama widziała się jako kobieta już kolejnej generacji, mniej podatnej na tego typu „darowanie się”, które było wyborem jej matki. W pochodzącym z 1928 roku liście do Wacława Dziabaszewskiego znajdziemy następujący passus: „Na szczęście kultura i

cywilizacja uspołecznia nas w ostatnich latach w takim tempie, że dziś kobiety zamiast dać się wchłonąć seksualnej i prywatnej funkcji macierzyństwa, spełniają ją jak najmniejszym nakładem sił, a zamiast odciągać mężczyzn od społecznej funkcji tworzenia kultury (...) – same biorą w tym działaniu udział” (s.380).

Dobrze przygotowaną źródłowo książkę p. Kaszuby-Dębskiej czytam jako przenikliwe studium losu kobiet-artystek, ich odwagi, ale i trudnych okoliczności, w jakich przyszło im pracować. Wiele z tej książki można też wyczytać o tym, jakie lektury kształtowały ich rozwój i pracę artystyczną.